

ROK I.

KSIĄŻKA 9.

Czytelnia Ludowa

Nr 3.

Obrazki ze wsi.

Napisał

Kazimierz Laskowski (El).



WARSZAWA.

Nakładem „Czytelni Ludowej“.

1906.

WALERYAN ZAJTZ

br. 33759

Czytania wieczorne

zebrane przez

ks. H. Skimborowicza.

Dotąd wyszły z druku:

- 1) O ludach słowiańskich.
- 2) Religia dawnych Słowian.
- 3) Lechia i plemiona lechickie.
- 4) O zawiązku państw słowiańskich.
- 5) ŚŚ. Cyryl i Metody.
- 6) Mieczysław i Dąbrówka.
- 7) Pierwsi pustelnicy polscy.
- 8) Święty Wojciech, Męczennik.
- 9) Bolesław I-szy Wielki, zwany Chrobrym.
- 10) Św. Bruno, biskup-Męczennik.
- 11) Pierwsi Kameduli w Polsce.
- 12) Radzym, zwany Gaudentym. Pierwszy arcybiskup gnieźnieński.

Ceny książeczek różne (od 6 do 20 groszy).

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 6, m. 10.

Rok I.

Książka 9.

CZYTELNIA LUDOWA

6

Nr 3.

6

OBRAZKI ZE WSI.

Napisał Kazimierz Laskowski (El).



Nakładem „Czytelni Ludowej”.

—
WARSZAWA

Krakowskie Przedmieście Nr. 6. Tel. 19029.

1906.



br. 33459

DRUK „GAZETY ROLNICZEJ” (W. MUSIELEWICZA),
WARSZAWA, ZŁOTA № 24.

WZ- 427/2017



Wójt Stanisław.



Chłop w każdym calu, wójt Stanisław (nazwisko rodowe pomijam, gdyż pod tem mianem znano go nie tylko w gminie i powiecie, ale nawet w gubernii), sprawował swój urząd w gminie Kowali od lat trzydziestu kilku.

Zawsze pogodnie uśmiechnięty, lubił wójt Stanisław przy zdarzonej sposobności opowiadać o swych wójtowskich sprawach, a wyrażał się czysto, jędrnie, nierzadko z dosadnym dowcipem i wyborną oceną poruszanego przedmiotu. Zwłaszcza o początkach swego wójtostwa wspominał chętnie.

— Kiedy po śmierci rodzica objąłem gospodarkę, zaraz mię wójtem obrali — opowiadał. — Strasznie był człek wtedy głupi! aż mi teraz dziwno, że gmina kogo innego nie wybrała. Na „książce“ ledwo umiałem się pomodlić, a i to z jedne-

go tylko „Złotego Oltarzyka,” bo z innej ani rusz! a co o pisaniu, to lepiej nie wspominać! Tyle się człek pociesza, że inni byli chyba jeszcze głupszy, bo człowiek przynajmniej wiedział, że jest głupi — mówił z filuterną miną — i nie miał się za mądrego...

— Jaceście sobie, wójcie, radę dawali? — pytano.

Jakoś po maluśku człek *przejrzał*. Był u nas wtedy organistą w Kowali—Balcar, niezła dusza. Zachodziłem do niego wieczorami i dalej *a b c* na nowo, choć mi się już wąsy dobrze sypały. W pół roku poduczyłem się niezgorzej, a i z pismem dawałem sobie radę. Bo najgorzej dla wójta, kiedy się na pisarskie oczy spuszcza... Na to ma kowal obcęgi, żeby się nie parzył, a wójt pisarza, żeby *pisał*, ale *czytanie* i *podpis* a *pieczęć*, to już wójtowska rzecz... Pisarz zrazu poszedł ze mną na *udry*, ale jak zwąchał pismo nosem, przycichł i byliśmy z sobą w dobrej zgodzie przez lat kilka. Swarzył się jeno ze mną, że po gminie piechotą chodzę, jakby podwód nie było...

I rzeczywiście wójt Stanisław rzadko kiedy jeździł po gminie, chyba do odleglejszych wiosek zawsze prawie, nawet w urzędowej sprawie, chodząc piechotą.

— Kiepski to ekonom, co ze szkapy nie złaży, a gospodarstwa z konia dogląda: zawsze coś prześlepi. A zresztą pańska rzecz jeździć, a chłopska chodzić...

W białej sukmanie, w granatowym spencerze, w magierce lub słomkowym o dużem rondzie ka-

peluszu, obchodził wójt Stanisław gminę, wstępując tam, gdzie mu potrzeba nakazywała.

Znał swoich współbraci na wylot, umiał do nich przemawiać, — to też wszelkie *uchwały* gromadzkie zapadały według jego życzenia i myśli.

A trzeba przyznać, że wpływu swego używał wszędzie i zawsze w dobrym celu. W razie, gdy który „*mędreka*“ chciał mu bruździć, zapalał się wójt kowalski i wtedy nie przebierał w słowach.

— Kiedyś głupi, to stul gębę! — karcil oponenta. Jeszcze koszulę w zębach nosił, jak ja już wójtem byłem i nie takich *mądrali* widziałem. Czego? nie będziesz płacił? to cię, bratku, sfantują i będzie wstyd. Jak wójt a gromada chce czego, to słuchać a gębę stulić! Rozumiesz!

— Kiedy to, panie wójcie... — chciał się tłómaczyć niefortunny przeciwnik.

— Ty mi nie panuj! tylko słuchaj! Taki ja *pan*, jak i ty. Z twoim ojcem gęsi pasalem i za lby wodziliśmy się chłopakami. „Panie wójcie!“ gadaj, człecz: „wójcie“, a pyska nie rozpuszczaj, to będzie lepiej!

Po takim *dictum* milkła zwykle strona przeciwna, a wójt Stanisław, po zapadnięciu uchwały, wyszukiwał onieśmiałonego, brał go za rękę i, łagodząc zbyt ostre wystąpienie, mówił:

— No! nie gniewaj się, Maciek! Widzisz, człek tyle lat siedzi na wójtostwie, krzywdy ludzkiej na sobie nie ma, to mu i przykro przekomarzać się z takim pędrakiem!...

— E! tak się człowiekowi wyrwało, a pan wójt zaraz...

— Już ci mówiłem, że ja nie *pan*, a po prostu *wójt*!...

— Widzicie, wójcie. Ja to ze swej głowy nie mówiłem... ludzie przenamówili, a wyście zara po mnie pojechali — tłómaczył się Maciek.

— Nie słuchaj drugich, jeno swego rozumu, a będziesz zawżdy w zgodzie. Bo z ciebie niegłupi chłop, tylko sparty — przemawiał wójt Stanisław do najzupełniej przekonanego Macieja.

Postępowaniem takim zapobiegał robieniu sobie nieprzyjaciół w gminie, ogólny też głos gromady twierdził: „takiego wójta, jak nasz, poszukać!“

Będzie temu lat kilka, kiedy pierwszy raz spotkałem wójta Stanisława.

Wiosna była, ta nasza kochana, strojąca się w zieleń, słoneczna wiosna. Żyzna proszowska ziemia zaczynała rodzić. Wystrzelały z pod ziemi łopiany, żółciły się ostromlecze, wspinał się rozchodnik po zrębach wawozów, kępki macierzank grzały się w jasnych promieniach, szmaragdowa darni zaścielala grzędy i miedze. Z pól dolatywało wesołe: „oj, dana! dana!“ oraczy, cichy szum rozpękającej wierzbiny, szelest ożywionej ciepłem zbożowej runi, śpiew ptasząt, przysiadłych w gałązkach rozkwitłej tarniny.

Bawilem wówczas w jednej z wiosek, przynależnych do gminy Kowala. Znałem już wójta Stanisława z opowieści, zapragnąłem go poznać osobiście i wybrałem się spacerkiem do kancelarii gminnej. Objasniono mi, że wójta niema.

— Pewnikiem w polu... *orzą* — pouczał stójka.

Wywiedziawszy się, gdzie leży wójtowski polanek, poszedłem.

Za plugiem, ciągnionym w parę doskonałych mierzynów, szedł boso, w rozpiętej koszuli, posiwiały włościanin. Uderzył mnie na pierwszy rzut oka łańcuch na jego szyi. Domyśliłem się, że to wójt Stanisław.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — odpowiedział.

— A cóż to, wójcie, tak trudzicie się sami? spytałem.

— Czy to orka przeszkadza wójtostwu, wielmożny panie? — odpowiedział.

— Zapewne, że nie — wtrąciłem. Tylko dziwi mnie, żeście przystroili się do pluga w łańcuch...

— Jeżeli wielmożny pan co o mnie słyszał — odrzekł z dumą — toż mu chyba świadomo, że z nijakiej *ambicyi* tego nie zrobiłem. I tak ludzie wiedzą, że wójtem jestem siła lat i, chwała Bogu, nie narzekają. Z umysłu kładę łańcuch na siebie, kiedy w polu wypadnie robota. Wójt, nie ubliżając panom dziedzicom i księdzu plebanowi, między chłopstwem pierwsza osoba. Niechże naród wie, że wójt, czy nie wójt, powinien oddać świętej ziemi to, co jej winien. Chłopem się urodziłem, chłopem mi umrzeć, a że tak wypadło, iż mię głową gromady zrobili, to dla honoru *swego* się nie wyrzeknę. Do czego Pan Bóg czeka stworzył, z tego według sumienia rachunek zdać winien.

Słynne też były odezwania się wójta Stanisława w różnych okolicznościach. Nacechowane

pewnością sądu i trafnością spostrzeżeń, krążyły wójtowskie przypowieści z ust do ust.

Zapraszany przez obywateli, bywał wójt Stanisław we dworach częstym gościem i rad bardzo w kółku ziemiańskim gawędził.

Chciano go nieraz przy obiedzie na honorowem miejscu sadowić, ale wymawiał się zawsze.

— I tak panowie dość starego *wenerujecie*, a i śledź przesolony zbrzydnie — tłómaczył, siadając, mimo oporu gospodarza, na szarym końcu. Nibyśwa to wszyscy równi, ale mnie się widzi, że tak nie jest... Szczupak szczupakiem, a plotka plotką. Zresztą jadło, czy tu, czy tam, jednakowe, a *fornalskiej* szkapie najwygodniej w *cu-gowej* stajni w ostatniej przegrodzie...

Było w tem określeniu może i frantostwa trochę, ale była i ta zdrowa duma prostaczego rozsądku, umiejąca poprzestać na swoim.

Podczas wizytacyi biskupiej duchowieństwo parafialne i obywatele ziemscy podejmowali pasterza dyecezyi składkową ucztą. Do grona biesiadników zaproszono wójta Stanisława. Wystroił się stary odświętnie w sukmanę z *suką*, w szeroki pas skórzany, nabijany mosiężnymi gwoździkami, w oznaki wójtowskie. Podczas biesiady wzniesiono, między innemi, zdrowie wójta Stanisława.

Podniósł się stary z kieliszkiem „węgierskiego“ w rękę i na podziękowanie przemówił:

— Nie stać mię na ładne słowa. Po prostu więc dziękuję wielmożnemu zebraniu. Bóg zapłać! za siebie i za *gromadę*, której jestem wójtem. Bóg zapłać! Niechże nam wszystkim to

wino, które ja, chłop, rzadko pijam, przy łasce Boskiej na dobre wyjdzie. Za zdrowie całej prześwieatnej kompanii!

Wychylił duszkiem i, stawiając próżny kieliszek, dodał półgłosem:

— Dawno mi tak żaden trunek nie smakował!

Po skończonem przyjęciu podszedł wójt Stanisław do jednego z ziemian, odbierającego składki, pytając:

— A siła to tam będzie się należało?

— Od wójta nic. Zaprosiliśmy was jako gości.

— O! co to, to nie! Dopóściliście mnie do równości w jednym, dopóście w drugim. Nie róbcie panowie *despektu* mej krwawicy, bobym się gniewał. Jak się chłopski grosz z szlacheckim zmiesza, nie pozna: który czyj!

I, mimo oporu zbierającego, wyjął z sakiewki pięć rubli (bo tyle składka wynosiła) i doręczył je, podżartowując:

— Wcale niedrogo. Niejeden przy okazji w karczmie więcej straci, a tego *honoru* przecie nie ma!

Wyciągano też czasami umyślnie starego na słowo, wiedząc, że się z nienacka zagadnąć nie da i na każde pytanie trafią znajdzie odpowiedź. Pytano raz wójta Stanisława (rozumie się żartem), dlaczego się nie *przebierze*?

— Żartujcie zdrowi! — odpowiedział. Człek chodziłby w *palitocie* jak odparzony koń w chomencie. Także mi wygodą!... albo ja głupi robić z siebie gawrona na pośmiewisko ludzkie.

Wyglądałoby się niczem czarna owca między białymi. Żartujcie zdrowi! A, na ten przykład, po śmierci błakałby się człowiek na sądzie ostatecznym od gromady do gromady i *swoiby* go może nie poznali... Własny nieboszczyk rodzic gotówby pasem przeciągnąć po plecach i spytać: Stachu! coś ty z siebie za cudaka wystroił? a nie zostawiłem ci sukmany jak się patrzy, żebyś po ojcach dodzierał, żeś się w czarne łachy przyodział?! Żartujcie zdrowi! Są głupie narody, co im nowość pachnie i rozumieją, że dość magierkę w kąt cisnąć, a kaszkiet przywdziać, to się i w głowie przeinaczy... A jakby człeka z wójtostwa złożyli, byłby, na ten przykład, jak lokaj dworski, co służbę stracił, jeno liberya została! Jużto ja się pocziwej sukmany nie wyrzeknę; tak się ojcowie nosili, w takim przyodzianiu przed Panem Bogiem stawali i ja stanę. A niechby się które dziecko ważyło, póki na oczy patrzę, *przeciaraszyć*... Sprawilbym mu takie *pranie*, żeby *syberyna* popękała!

I rzeczywiście, stosownie do głoszonych zasad postępował. Wójtowskie dzieci odziane były po włościańsku, a nawet po ukończeniu czterech klas gimnazjalnych z szkolnych mundurków wrócili do sukmany. Jednego z synów osadził wójt Stanisław na roli, drugiemu sklepik założył, a trzeci, najmłodszy, został organistą.

Pierwszy to raz w życiu widziałem organistę w sukmanie!

Natrącano wójtowi, żeby synów wyżej kształcił, mówiąc, że szkoda chłopców po skończeniu czterech klas zagrzebywać na wsi.

— Szkoda albo nie szkoda — odparł. Juści lepiejby było, żeby całe szkoły *przeszli*, ale jakby który *przemądrzał*, toby mu się później w ojcowskiej chałupie cniło.

— Mógłby sobie poszukać innego kawałka chleba w świecie...

— A po co ma szukać? Choćby nawet znalazł, to i tak niedobrze. W mojej głowie *wieś*, nieprzymierzając, jest jak *obora*: jak się kto z obory najlepszych cieląt wyzbywa dlatego, że je łatwiej między ludzi puścić, a najgorsze *na chów* ostawia, to w końcu i obora *spaskudnieje*: Tak i we wsi... Jak co mędrszy pójdzie w świat, to sami głupi ostaną... A dobrze będzie wtedy, he?

Podczas wybuchnięcia epidemii, z polecenia wyższej władzy nakazano, jak zwykle, grzebać zmarłych na cholere na oddzielnych cmentarzach. W każdej wiosce wybrano na ten cel odpowiedni plac na ustroniu. Wójt Stanisław znalazł się w kłopotcie. W gminie zamieszkiwało kilku żydów, dla których, rzecz prosta, trzeba było również osobny *kirkut* wyznaczyć. Zaproponował Izraelitom, aby nabyli gdzie parę pretów gruntu za własne fundusze. Żydzi odmówili, utrzymując, że gmina ze swoich środków powinna pokryć ten wydatek, a gromady nie chciały na ten cel uchwalić ani grosza. Ani tak, ani owak!

Wzywa tedy wójt Stanisław żydów do kancelaryi gminnej i powiada:

— Niechże *kupcy* za swoje *kirkut* kupią, bo gmina pieniędzy nie ma, a grunt drogi. Juści jak wy nie kupita, to, radzi nie radzi, będziemy wam

musieli poleżysko sprawić. Jest was wszystkich pięciu, a z żonami i dziećmi głów dwadzieścia to żeby świętej ziemi na darmo nie psuć, a grosza nie wyrzucać po próżnicy, weźmiemy wprzód z każdego *miarę*, żeby wiedzieć dokumentnie, jaki szczątek ziemi potrzebny.

Po tej przemowie żydzi, w obawie *miary*, drugiego dnia zaraz nabyli odległą „pustkę“ pod *kirkut* i podstęp się udał.

Takim był i jest (bo żyje i urzęduje dotąd) wójt Stanisław. Piękna to i godna szacunku postać. Szczery, rozsądny, do ziemi przywiązany, chłop w każdym calu, ma wójt Stanisław w sobie coś z piastowskiego kmiecia.





Walenty Karpiel, wójt, i wójcina Magda.

Zeby nie ja, a nie wieprzek, prędzejbyś swoje ucho zobaczył, niż wójtem ostał, pijaku! — wykrzykiwała, grożąc pięścią Magdalena Karpielowa, ilekroć Karpiel pijany z objazdu po gminie wracał.

— Nie bluźnij, kobieto!... Taka była wola gromady... Wieprzka nie wymawiaj, bo jak się zgniewam, to ci go z pierwszej *pensyfe* zapłacę i gębę stulisz! — bronił się podcięty.

— Zapłacisz? z czego? *Z pensyfe?* Jużes ją u Herszlika i po karczmach przetopił!

— Przetopilem... to moje! wójtowski grosz, to mi wolno, a tobie zasię hańbić urzędnika... rozumiesz! — stawiał się Walenty.

— A, wieprzek twój? co? Nie ja go uchowała, ukarmiła? Nie dawali gońce trzydziestu pa-

pierków? he? Wszystko poszło! Chciałam z ciebie człowieka zrobić, ale kaj tam! Także wójt urzędnik! ani *me*, ani *be*... w karczmie się jeno wyleguje, a w *kancelaryse* pisarskie rządy... Jak mi jeszcze raz palkę zalejesz... popamiętasz moje słowo! popamiętasz — odgrażała się rozgniewana kobieta.

— Zaleję... nie zaleję... Toć przecie wójttem jestem i ludzkiego poczęstunku odrzucać nie mogę. A wieprzka cięgiem nie wytykaj, bo jedno że zagroda moja, *lumer* mój, to i wszystko moje, a drugie, przez niego i na ciebie honor zleciał... Wójcina jesteś jak się patrzy i nikt ci powagi i *aten-cyi* nie odmawia...

Tego rodzaju dyalogi małżeńskie Karpielów, w których wieprzek odgrywał dominującą rolę, trafiały się dość często, a nierzadko Walenty Karpiel, poturbowany przez krewką połowicę, za nazbyt wesoły *objazd* i wspomnienie dopasionego półświnka pokutował zamknięty w komorze.

Każde stanowisko ma swoje ciernie i głogi.

W wymówkach, jakie Magdalena Karpielowa czyniła mężowi, było wiele słuszności. Przede wszystkim w jej to głowie zrodziła się myśl osadzenia go na urzędzie. Sam Karpiel, chłopisko potulne, nigdyby o tem nie zamarzył. Ale babina *hambitna*, jak mu zaczęła dojeżdżać, że we wsi nic nie znaczy, że, choć gospodarzem jest osiadłym z dziada pradziada, to byle *przybysz* czy w gminie na zebraniu, czy, na ten przykład, w karczmie na *zabawie*, przed nim rej wodzi, —

wziął Walenty na *hambit* i dalej kręcić się między ludźmi, żeby go wójtem obrali.

Spraszal *somsiadów*, podejmował, często gęsto z butelki raczył, skarbiąc sobie przychyłność gromadzką.

Jedni z miejsca przyrzekali „głosy,” inni odradzali, przedstawiając:

— Bez waszej urazy, Walenty! ale nam się widzi, co nie wasza głowa na wójta. Zawdy to potraza łepetyną niezgorzej kręcić, a i pismo potrzebne...

— O, nie święci garnki lepią! *mój* się ta *przećwicz* — upewniała Karpielowa.

— Pewnikiem! postaram się, a zresztą od czegoż *pisorz* — dopowiadał sam Karpiel.

— My też naprzeciw was niczegoj nie mówiewa... Gospodarz jesteście... *figura* jak się patrzy... byleście sobie jeno radę dali, toby wam wójtem pasowało — potakiwali nieco przekonani słuchacze.

Lecz, pomimo namów i *traktamentu*, kto wie czy uchwała wypadłaby dla Karpiela pomyślnie, zwłaszcza że przed wyborami zjawilo się kilku groźnych kandydatów, gdyby nie prawdziwe poświęcenie Karpielowej, której się gwałtem zachciało postawić na swoim.

Ow wieprzek, stanowiący główną „przyczynę” późniejszych wyrzekań wójciny, przechylił ostatecznie wagę zwycięstwa na stronę Walentego.

Plewniak był setny, na osypce i kartoflach wypasiony. Obiecowała sobie Karpielowa wziąć za niego sporo grosza, bo właśnie na świnię lepszy czas nastał i „gońce” kręcili się po wsiach.

Rachowała, że siebie i dzieci ogarnie, a i Walentemu kryty kozuch sprawi.

Ale czegoż to kochającą żona dla mężowskiego dobra nie zrobi?

Jak przewąchała Magda pismo nosem, że mąż może się przy wyborach *upsnąć*, a kto inny wziąć górę, bo nawet głośno o Filipie Pęczaku mówili, że na wójta kroi, a *partye* sobie zbiera — dalej po rozum do głowy!

— Co dać, to dać, a na swoim postawić trza — mówiła jednego dnia do strapionego męża. Żal, bo żal, jak rodzonego dziecka, ale dla ciebie, Waluś! dla twego *honoru*... i na to jestem gotowa... Zabijewa wieprzka, trza sprosić co godniejszych gospodarzy i pana pisarza... a jakże! bo to głowa... i dokumentnie uradzić, jak sobie poczynąć, boby cię w kaszy zjedli, Waluś! a świadomo: kto smaruje, ten jedzie...

Walentemu podwójnie przypadł do gustu projekt żony. Raz, że przedwstępne głosowanie przy misce wieprzowiny nie mogło nie wydać dobrych rezultatów, a powtóre, że, bez względu na wynik przyszłych wyborów, już na samą myśl szperki, podgardlanych kiszek i barszczu na dudach łykał zawczasu ślinkę.

Za całą odpowiedź rzucił się żonie na szyję, wołając:

— Magda! u ciebie lepszy rozum, niż u niejednego chłopca!

— A widzisz! teraz Pęczak, żeby na czworakach chodził, nie poradzi...

Losy wieprzka, przeznaczonego na argument wyborczy, zostały rozstrzygnięte.

Na drugi dzień we świtanie przeraźliwy kwik, dochodzący z chałupy Karpielów, zwiastował wszem wobec i każdemu z osobna o poświęceniu Magdy.

Z chaty do chaty biegła budząca wysokie zainteresowanie wieść: „u Karpielów wieprzka zabili!“

— To nie bez kozery — mówili jedni.

— Karpielowa „swego“ na wójta widać szykuje — domyślali się drudzy.

— Pewnikiem gromadę sproszą, a poczęstunek wyprawia...

Domysł sprawdził się najzupełniej. W parę dni potem, prawie przed samymi wyborami na wójta, „żeby za świeża w pamięci ostało“ — wyprawili Karpielowie suty *traktament* dla wpływowszych wyborców z całej gminy. Pisarza zwiózł Walenty własną furmanką.

Najedli, napili, niejeden wziął jeszcze „na wypłat“ do domu skrawek mięsa lub funcik słoniny, pan sekretarz przymówił się o „południcę“... Nie żalowali tego Karpielowie, bo wszystko po ich myśli wypadło.

Walenty Karpiel wrócił z wyborów z łańcuchem i powitał żonę:

— Dajże teraz gęby, wójcino!

Pierwsze chwile urzędowania przeszły jako tako. Ludzie garnęli się do nowego wójta, a pisarz objaśniał, gdzie i jak pieczęć wójtowską przyłożyć, co Karpiel własnoręcznie z namaszczeniem wykonywał. Chwalił się nawet z tego powodu przed żoną:

„Czytelnia ludowa“—Obrazki ze wsi.



— Widzisz Magda! już z grubsza przepatrzyłem wójtowskie *obroty*. Bez mej pieczętki a podpisu żaden papier z gminy nie wyjdzie...

— A kiej pisać nie umiesz?!

— No, niby nie umiem, ale *krzyże* to rychtownie stawiam.

Karpielowa rosła w dumę, *zatygała* się nawet do kancelaryi, bo zawsze człekowi wedle serca przyjemnie, gdy mu *czapkują* a „wójcino“ mówią. Aż jej się oczy śmiały, kiedy — bywało w niedzielę do kościoła zajdzie, w ławce zasiądzie, a między narodem *przelatuje*: „wójcina przysła! patrzcie, jaka *alagantka*, kieby szlachcianka!“

W samej rzeczy Karpielowa ze zmianą położenia zadbała o zewnętrzny wygląd zarówno swój, jak męża.

Jak cię widzą, tak cię piszą. Pojechali oboje na jarmark. Dobrała Walentemu czarny surdut i spodnie sukienne, żeby się wobec gromady ochędożniej pokazał, a wytartym sukmaniskiem nie świecił: sobie sprawiła kaftan na wacie z guzikami na dwa rzędy i chustkę bajową... Poszła na to wszystko dwuletnia jałówka, co się już *poganiała*, ale trudno. Nie zawsze można być na grosz *ściśliwym*...

— Ja ci to, Magduś! wszystko z *precentem* zwrócę, jeno *pensyję* odbiorę! — obiecywał Walenty.

Jakoś mu się jednak z tem nie spieszyło. Nie nalegała i wójcina zrazu, bo rozumiała, że

na początek będą różne wydatki, z nowem stanowiskiem związane.

— Wójt, nie byle kto! każdy mu na ręce patrzy. Ludzie od czasu do czasu poczęstują, toć trzeba komu niekomu od siebie postawić, a przy okazji głowa się zaproszy — rozmyślała, gdy Karpiel trochę cięty do domu wracał. Ale niech się tylko *włoży*, niech się da poznać, to już ja go ustatkuję — obiecywała sobie.

Wkładał się Karpiel, *wkładał*, a coraz bardziej *nacinał*.

Świtkiem już wymykał się do kancelaryi, nie rzadko na obiad do chałupy nie zajrzał, a bywało, że nieraz późno w noc z objazdu wróci i jeszcze *breweryje* stroi.

Zmiarkowała Magda, że tak niedobrze, bo Karpiel o gospodarce ani *zbylił*, ale wzięła jeszcze na cierpliwość. Przyjęła parobka, żeby mieć w chłopskim obrządku wyrękę, i czekała.

Dopiero, jak raz konie same przyszły do domu, a *schlanego* wójta „na siłę“ przyprowadził stójka, z oberwanym u surduta kołnierzem, bo się w karczmie *przemówił*, jak ludzie wzięli na języki, a zaczęli podśmiewywać a wykpiwać, rozlała się żółć w Karpielowej i wybuchnęło babsko, wymyślając od pijaków, włóczęgów, zawalidrogów...

Odżyło w piersiach rozżalonej kobiety wspomnienie zarzniętego wieprzka... *przejrzała*...

Daremnie łagodził złe wrażenie wytrzeźwiony Karpiel — brała się już Magda, nie zważając

na świadków, do *melaka*, na szczęście jednak umknął Walenty w porę do stodoły i zawarł się na kolek.

Po tem pierwszym starciu nie było dnia prawie bez klótni i klątwy.

Stawiał się Walenty, odgrażała Magda, i tylko w jedną niedzielę, gdy obydwójce w półkosz-
kach jechali do kościoła, a gromada ustępowała im z drogi, witając „pana wójta,“ zapominała o przebytych dolegliwościach, dzieląc *honory* męża Karpielewa i czasem nawet za „własny“ grosz brała z karczmy do domu butelkę „słodkiej“.

Poniedziałkowy *objazd* psuł jednak na nowo harmonię małżeńską.

A i na tych „objazdach,“ na które wójta pisarz dla *asysty* wyciągał, wielkiego *smaku* nie było.

Wiadomo, że czasem z urzędu trzeba się było ludziom *naprzykrzać*, a na to nikt wyrozumiałości nie ma, że prawo prawem, a podatków i koniem nie objedzie, jeno, jak przyjdzie pora, zapłacić należy.

Bywało, ludzie nie płacą, z kancelaryi wysyłają, raz drugi „karnego“ stójkę... na nic!... Jedzie sam pisarz z wójtem. Tłómaczy się naród: „a to wtedy, a to w owędy oddawa...“ Pisarz, jak pisarz: zasłania się wójtowską osobą, mówiąc, że nic nie znaczy, a Walenty, choć radby niejednemu wygodzić, nie wie, jak ma sobie poczynąć, bo mu pisarz już w kancelaryi *przykazał*, żeby się nie ważył nikomu *prolongować*...

I krzywdowali sobie ludzie na takie rządy, niesłusznie *winu*jąc Karpiela, że o gromadzkie dobro nie dba, że zhardział i teraz *przewodzi*.

— Zapomniał wół, jak cielőciem był! — mawiali, odgrażając się, że go jeszcze przed terminem złożą.

Trzeba było pomstowanie łagodzić. Więc wstępował Karpiel do karczmy, stawiał od siebie blachę, poił, a przedstawiał, że na to rady nie ma. Towarzyszący mu pisarz, choć w oczy gał co innego, za oczy nie jednemu szepnął:

— Z Karpiela chłop głupi i *miętki*, wszystko na mej głowie. Ja własnych pleców za was nadstawiam, a z niego nie mam żadnej wyreki, bo przytem sparty jest i naciąć lubi.

Najgorszy jednak kłopot sprawiała Karpielowi „kasa pożyczkowa“ gminna. Rachować wprawdzie Walenty umiał, ale, jak przyszło *procenty* obliczać — zdechł pies! bez pisarza ani rusz!

A w dodatku ludzie cisnęli się o pożyczki, żadnego uwzględnienia nie mając. Każdy chciał brać. Walenty *obiecował*, a jak przyszło do rzeczy, skutku nijakiego nie było, bo pisarz przeczył, a różne *formy* wynajdywał.

Zmiarkowali ludzie, że się bez Karpiela obejda, i później wprost do pisarza z interesem chodzili. Nie gniewałby się może o to Walenty, choć to przeciwne jego *honorowi* było, gdyby nie obawa, że pisarz może co *skręcić*, a potem na niego odpowiedzialność spadnie.

Nieraz też skarżył się przed żoną na *pisarskie rządy*.

— Wtyka nos wszędy, a mnie do niczego nie dopuszcza...

— Boś do niczego! Byleś brzuch napasł, to ci jedność. Pamiętaj! pamiętaj! pieczęci z garści nie popuszczaj, a słuchaj uważnie, co czyta, zanim *podznaczysz*... ja ci to mówię, twoją żona! bo wpadniesz w biedę!

— O! o! znów nie przewiduj! Mądry on, ale i ja nie głupi! — uspakajał.

Próbował nawet Karpiel raz postawić się pisarzowi. Pisarz położył pióro, wyjął kluczyki od szafy i także na stół położył, a nie odrzekłszy ani słowa, wyszedł z kancelaryi do swego mieszkania. Strach zdjął Karpiele — dalej za nim i w prośby!

— Jak sobie bezemnie radę dacie, wójcie, to i owszem. Wyście głowa! ja tylko pisarz, wasz podwładny, co każecie napisać... Właśnie przyszły papiery z powiatu, to mi podyktujcie odpowiedź... — przekomarzał się pewny swego sekretarz.

Przerażony Walenty nuże prosić, *molestować*. Pogodzili się i wszystko wróciło do dawnego stanu rzeczy. Ale raz nauczony wójt już od tej chwili nie *zabierał* się nigdy do pisarza, „żeby jakiej *obstrukcyi* nie było!”

Upłynęło dwa lata. Gospodarka upadła, Karpiel coraz częściej nacinał, wójtując.

Karcila go żona, ale nie pomagało. Chłop zwłókł się i na babskie gadanie nie zważał. Pisarz *harował* nim, posyłając po gminie, gdzie najgorzej. Gromada zaczęła sarkać.

Zdarzyło się, że podchmielony Karpiel zgubił raz „kwaterunkowe,” zebrane od ludzi. Nie było rady, przed żoną nie rzekł ani słowa, tylko ze swego *złożył*.

Ale nie koniec na tem.

Pojechał Karpiel z pisarzem do powiatu, do kasy. Spotkał się z wesolą *kompanią* i gdzieś pięćdziesiąt papierków i kwity zagubił.

Pieniądze, jak pieniądze... byłby je jeszcze skąd wytrzasnął, ale z kwitami było gorzej. Ludzie zaraz obnieśli... dowiedziała się całej prawdy Karpielowa...

Aż wrzało w chałupie! Wspomnienie utraczonego wieprzka znalazło praktyczne zastosowanie, po którym Walenty nie pokazywał się na świat przez dni parę, póki się *plejzery* nie zaigoły.

— Drugiego upasę, ludziom postawię. Niech cię tylko *obała* niedługo! opoju! — groziła rozsrożona Magda. Chciałam z ciebie człowieka zrobić, ale po próżnicy! Kół zawsze kołem ostanie!

.

Na następne trzechlecie wybrała gromada wójtem Filipa Pęczaka.

Karpielowi zostało z wójtostwa *nacinanie* i trochę długów przyrosło. Mimo to jednak, krytykując czasami postępowanie nowego wybrańca gminy, mawiał:

— Za mego wójtostwa tego nie bywało...

— A ino! — docinała ex-wójcina — nie bywało! Głupiś był i głupim ostałeś... Zresztą co z woza spadło, to przepadło... Jeno mi wieprzka żal... Byłoby zań ze trzydzieści papierków... albo i więcej!...



WYCHODZĄ ZESZYTAMI
„Dzieje Kościoła Polskiego”

W ŻYWOTACH ŚWIĘTYCH,
BŁOGOSŁAWIONYCH I ZASŁUŻONYCH
POLAKÓW I POLEK,

opracowane przez
ks. H. Skimborowicza i ks. W. Załuskiego.

Tekst zdobią liczne rysunki.

Cena pojedynczego zeszytu 15 kopiejek. Z przesyłką pocztową 17 kopiejek. Cena za tom t. j. 10 zeszytów 1 rb. Z przesyłką pocztową 1.20.

Wyszedł tom I i tom II.

==== Przyjmuje się prenumeratę na tom III-ci. ====

Dla nowych prenumeratorów, którzy opłacą z góry za dwa tomy, cena prenumeracyjna pozostaje taż sama, t. j. 1 rb. za tom (z przesyłką pocztową, ubezpieczoną, 1 rb. 30 kop.).

Oddzielnie, poza prenumeratą, cena tomu zbroszowanego, wynosi 1 rb. 50 kop. (z przesyłką pocztową, ubezpieczoną, 1 rb. 80 kop.).

Przedpłatę nadsyłać należy pod adresem:

Wydawnictwo „Dziejów Kościoła Polskiego”

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 6 m. 10.

Wydawnictwa „Czytelni Ludowej”.

Cena pojedynczej książki:

- | | |
|---|--------|
| Nr 1. Z dziejów Grecyi. Napisał Maksymilian Malinowski. Z 10-ma rysunkami | 15 kop |
| „ 2. Polinezja i Polinezyjczycy. Nap. L. Piasecki. Z 9-ma rysunkami. | 10 „ |
| „ 3. Jak walczą z sobą rośliny. Przekład J. P. Z 11-ma rysunkami. | 10 „ |
| „ 4. Kilka słów o konstytucyi. Napisał J. K. | 5 „ |
| „ 5 i 8. Krótki rys historii Polski. Ułożyła M. Kaczkowska. Z 40-ma rysunkami | 20 „ |
| „ 6 Co podniesie dobrobyt drobnego rolnika? Napisał M. Malinowski | 10 „ |
| „ 7. Podania egipskie. Streścił L. Bobiński. Z 9-ma rysunkami | 10 |
| „ 9. Obrazki ze wsi. Napisał J. Laskowski (Elm) | |

Biblioteka Gł. UPH Siedlce
nr inw.: BR - 33759



br.33759

Główny skład w Administracji „Czytelni Ludowej”,
Warszawa, Krak. - Przedmieście Nr 6, m. 10,
telefonu Nr 19029.

Redaktorka i wydawczyni **Marya Piotrowska.**